

— Kto to taki, twój Józef?

I wtenczas usłyszał misjonarz historję, którą opisał...

— Ojcie, dziwne to; my jesteśmy ludźmi prostymi, ale jedną rzecz rozumiemy dobrze: głos Chrystusa z krzyża, który nam wyraźnie mówi, co jest dobre, a co złe.

Na te słowa Piotr wyciąga z kieszeni swój kołnierz krzyżyk, całuje go i pochyla głowę. Dwie duże łzy stoczyły się po czarnych policzkach.

(Z franc. przet. K. Berkanówna.)

Uczul nagle, że jest otoczony miłością matczyną i... się nawrócił.

Współczesny katolicki pisarz francuski, autor znakomitych dzieł, Jerzy Valois, w jednej ze swych ostatnich książek opisuje w sposób niezwykle zajmujący bieg przemian duchowych, które go z rewolucjonisty uczyniły gorliwym wyznawcą Kościoła katolickiego.

Kilka lat pierwszej młodości zeszyły mu na poszukiwaniu odpowiedniego zawodu, a również na gorącym poszukiwaniu prawdy. Był handlowcem w Indiach, nauczycielem w Rosji, nim ostatecznie zajął się pracą księgarską i wydawniczą w Paryżu. Należał do różnych kół anarchistycznych. Im dłużej jednak żył w świecie buntu i hasel rewolucyjnych, tem więcej stawały się one dla niego niestosownymi. Pobyt w wojsku nauczył go szanować karność, a poznanie bliższe socjalistycznych działaczy oświatowych zniechęciło do t. zw. „moralności świeckiej”, choć później dopiero zrozumiał, że tylko kapłan ma prawo głosić zasady moralne, gdyż nie mówi on w swoim ludzkim imieniu, ale w imieniu Boga.

Przełom stanowczy dokonał się w 25 roku życia; do tej pory wszystkie religie świata zarówno były dla niego oknami otwartymi na nieskończoność i tajemnice. Założywszy w tym czasie rodzinę, zaczął zastanawiać się nad znaczeniem życia i śmierci. Zakończyło się to nawróceniem. Oto jak pisze:

„W pewne południe jesienne znalazłem Tego, którego się nie szuka, zanim się Go już nieznalazło... Nagle przyszło na mnie oświecenie: nie mogę tego nazwać inaczej. Miałem wrażenie wielkiego światła, które rozpróczyło ciemności i przeniknęło mnie całego. Uczulem, że jestem otoczony miłością matczyną; zbudziła się we mnie ufność i nadzieja, nieznaną mi dotychczas. Nie miałem chwili wahania; przeżegnałem się i odmówiłem Zdrowaś Marjo. Znajdowałem się właśnie w ogrodzie; było południe, ogród się opróżnił: nikt nie zauważył mego wzruszenia. Pospieszyłem do kościoła św. Jakóba, szukając kapłana; nie znalazłem go narazie, ale w duszy mojej zapanował jakiś wielki, nieznan mi dotąd pokój. W kilka tygodni potem powróciłem do tego kościoła...”

Od tej chwili stał się Valois głęboko wierzącym katolikiem i w dziełach swoich ujawnił owo szczęście ze znalezienia prawdy. Wiara bowiem dała oparcie jego energii blakającej się w chaosie pojęć. Pisze on:

„Pracować i modlić się: oto cała godność i wielkość człowieka. Wszystko zawiera się w tych dwóch słowach: Należy pracować, by żyć i rozwijać się, należy modlić się, by zachować się do pracy, i wole doskonałości się.”

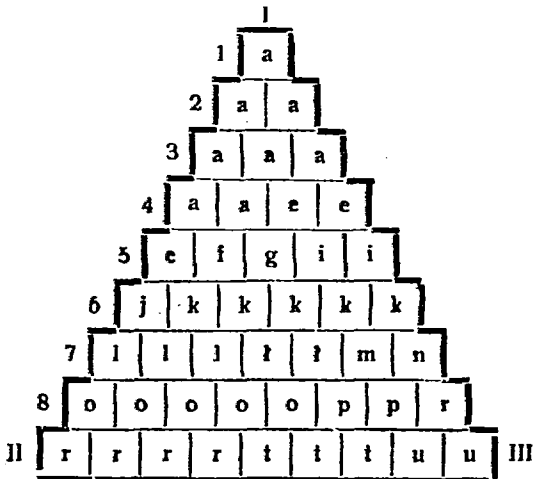
W jednej z jego książek spotykamy piękne rozdziały o znaczeniu Kościoła i jego wzniosłych zadaniach. „Ponieważ rozum prowadzi nas do uznania konieczności wiary, zatem doprowadza nas on również i do poddania się pod powagę Kościoła, który podtrzymuje w nas wiarę i miłość Boga. Kościół stoi ponad rozumem człowieka i pyszny jego umysł musi się przed nim uchylić”.

Potężny duch szlachetnego pisarza, pełen zapалу dla prawdy Bożej, szukał napróżno gdzieś indziej cech i znaków prawdziwego Chrystusowego Kościoła — odnalazł je dopiero w Kościele katolickim. Uwierzył on prawdziwie głęboko, że poza religią katolicką niema wolności duchowej ani zbawienia; ona jedynie podtrzymuje wiarę w ideały ludzkości i prowadzi ją do ich urzeczywistnienia.

W. K.

DLA ROZRYWKI

Nr. 183. Piramida.



Litery poprzestawiać tak, aby utworzyły 10 wyrazów. Znaczenie wyrazów: I—II Obrona polegająca na natarciu na przeciwnika. I—III. Mięsożerstwo (po grecku). II—III. Tasiemczka ozdoba przyklejana do górnego i dolnego brzegu grzbietu książki przygotowanej do oprawy w okładkę.

Pozio mo: 1. Spółgłoska. 2. Dwie litery. 3. Imię patriarchy. 4. Utwór muzyczny jako część trzecia do tańca. 5. Wściekłość, po łac. wspank. 6. Tkanina z wełny owiec tego nazwiska. 7. Telegraf dla porozumienia się między baterją działową a posterunkiem obserwującym strzały. 8. Czapeczka bez daszka (wspank).

Nr. 184. Łamigłówka sylabowa.

Z następujących sylab: beł, by, ce, chło, cho, chron, cki, ciec, cy, cza, cze, czy, del, dja, dli, do, e, gl, jazd, ka, ko, ko, lo, lo, la, mo, mon, na, nja, no, nom, o, o, o; ol; ol; pl; pol, róg, ry, sko, sta, sto, stro, tar, tarz, te, tom; twa; u; u; u, wa, wa, wies, zna; ułożyć 23 wyrazy, których drugie litery dają jedno zdanie.

Znaczenie wyrazów: 1. Pastucha, in. 2. Miasto w Niemczech. 3. Płyn. 4. General polski. 5. Miasto we wsch. Niemczech. 6. Ukochany kral. 7. Statut, in. 8. Gatunek zboża. 9. Instrument muzyczny. 10. Członek rodziny. 11. Miasto na Sl. opolskim. 12. Kolorowy luk na obłokach. 13. Coś z uprzedz. 14. Pisarz polski. 15. Urzędnik we dworze. 16. Co podnosi serce do Boga. 17. Zły duch. 18. Szkoła dla dzieci. 19. Miasto w Polsce. 20. Miasto na Sl. opolskim. 21. Ułani mają. 22. Chałupa bez komina. 23. Przyprawa.

Nr. 182. Szarada.

Kra — kusy.

Rozwiązanie z nr. 29.

Dobre rozwiązanie szarady nr. 182 nadesłali: Alojzy Kłosa, Wiktor Malcherek, Lucja Rybakówna

GOŚĆ ŚWIĄTECZNY

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY.

W imię † Ojca i † Syna i † Ducha Świętego. Amen.

Na większą cześć i chwałę Panu Bogu Wszechmogącemu w Trójcy świętej jedynemu, a nam na zbawieniu dusz naszych pożytek, czyta Kościół Boży na **Niedzielę dziesiątą po Ziel. Świętą**

LEKCJE

z listu św. Pawła do Koryntjan w rozdziale XII., wiersz 2—11.

Bracia! Wiedzie, iż gdyście pogańcy byli, do niemych bałwanów, jako was prowadzono, szliście. Przetoż oznajmuję wam, iż żaden w Duchu Bożym mówiąc, nie mówi przekleństwa Jezusowi. A żaden nie może rzec: Pan Jezus, tylko w Duchu Świętym. Są zaś różności darów, lecz tenże Duch. I są różności posług, ale tenże Pan. I są różności spraw, ale tenże jest Bóg, który sprawuje wszystko we wszystkich. A każdemu bywa dane okazanie Ducha ku pożytkowi. Albowiem jednemu przez Ducha bywa dana mowa mądrości; a drugiemu mowa umiejętności według tegoż Ducha; inszemu wiara w tymże Duchu; drugiemu czynienie cudów; drugiemu prorocstwo; drugiemu rzeźnianie duchów; inszemu rozmaitość języków; a drugiemu tłumaczenie mów. A to wszystko sprawuje jeden a tenże Duch udzielając z osobna każdemu, jako chce.

EWANGELJA

u św. Łukasza, rozdział XVIII., wiersz 9—14.

W on czas: Powiedział Jezus do niektórych, co dufali sobie, iż są sprawiedliwi, a pogardzali innymi, taką przypowieść: Dwóch ludzi weszło do świątyni na modlitwę: jeden faryzeusz, a drugi celnik. Faryzeusz, stojąc, tak się w duszy modlił: Boże, dziękuję Ci, że nie jestem jako inni ludzie: drapieżcy, niesprawiedliwi, cudzołóznicy, lub też jak ten oto celnik. Poszczę dwakroć w tygodniu; składam dziesięciny ze wszystkiego, co nabywam. Celnik zaś, zdaleka stanąwszy, nawet oczu nie chciał podnieść w niebo, ale bił się w piersi, mówiąc: Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu! Powiadam wam, że ten odszedł do domu swego usprawiedliwiony, a nie tamten; albowiem każdy, kto się wywyższa, będzie poniżony, a kto się unia, będzie wywyższony.

NAUKA.

Dwóch ludzi wstąpiło do kościoła, aby się modlili: jeden faryzeusz a drugi celnik”.

Pierwszy, to jest faryzeusz jest obrazem chrześcijanina fałszywie pobożnego. Zadowolony ze siebie, podziwia się nieustannie i uważa się za najświętszego ze wszystkich ludzi, szuka wygody i odznaczenia nawet w kościele; dumny ze swych zasług, gardzi wszystkimi, bez miłosierdzia potępia swych braci, mówi tylko o sobie, chwali swe cnoty i głosi swe dobre uczynki, a w bliźnich dopatruje się najmniejszych błędów, powiększa je i znajduje przyjemność w dopatrywaniu i potępieniu wad cudzych, gdy swoich własnych i daleko większych nie widzi, i nawet, ostrzeżony przez innych, do nich się nie przyznaje. Takich fałszywie

pobożnych spotkać można często; smutnym jest stan ich duszy, a tem smutniejszy, że nie poznają w sobie tej strasznej pychy, która ich zaślepia i nie pozwala im poznać, jakimi są w istocie wobec Boga.

Bój się podobnego zaślepienia i proś Boga, abyś Mu umiał służyć z prawdziwą pobożnością.

„A celnik stojąc zdaleka, nie śmiał ani oczu podnieść w niebo, ale bił się w piersi, mówiąc: Boże bądź miłościw mnie grzesznemu”.

Zastanówmy się nad tem, co zjednało celnikowi usprawiedliwienie wobec Boga: poznanie grzechów własnych wstrzymuje go od zbliżenia się do ołtarza, a to pokorne uznanie swej niegodności sprawia, że Bóg sam przybliży się do niego, przebacza mu grzechy i daje mu swą łaskę i, jak powiada Ewangelja święta „odszedł ten usprawiedliwiony”. Żal za grzechy nie powinien nam odbierać nadziei: im większymi czujemy się grzesznikami, tem więcej potrzebne nam miłosierdzie Boże, z tem większą ufnością śpieszmy do Jezusa po Jego łaski!

„Albowiem ktokolwiek się podwyższa będzie uniożon, a kto się unia, będzie podwyższon. Są to słowa samego Pana Jezusa i sprawdzają się nieustannie. Zawsze pysznego spotyka upokorzenie większe lub mniejsze, stosownie do stopnia jego pychy; pokorny za to będzie uczczony od tych nawet, którzy nim gardzili, a wielka chwała w niebie będzie zapłatą dobrowolnego jego poniżenia.

Zastanów się tu nad sobą, lękaj się pychy, proś Jezusa, cichego Baranka, o tę umiłowaną przez Niego cnotę. Proś aby cię nauczył przez całe życie być cichym i pokornego serca. Amen.

Zgon i Wniebowzięcie Marji Panny.

Została Matka sama na ziemi, z boleścią Swoją, ze łzami Swemi; dwie tylko chwile radosne miała: gdy na świat przyszedł Syn Jej jedyny, i gdy w dzień trzeci po Jego zgonie zmartwychwstałego znowu ujrzała. Przez lat czterdzieści przy Świątym Janie mieszkała smutna, cicha i skromna Boskiego Syna Matka wybrana; ziemską pielgrzymkę kończyła Swoją w modłach, w wspomnieniach, w dusznej tęsknocie, wpatrzona w niebo, gdzie Syn Jej mieszkał, wpatrzona w ziemię, co łzy Jej piła a krwawe ślady Jego nosiła. Choć siedem mieczów tkwiło w Jej łonie, chociaż w cierniowej żyła koronie, choć Jej do krzyża Syna przybito, w sercu nie miała cierpkiej goryczy ani do świata, ani do ludzi; ich przyjaźniotką, ich opiekunką, ich dobrodziejką była do zgonu i po wiek wieków pozostać miała. A choć krwawymi łzami płakała, łzy te na kwiaty ziemia zmieniła.

Choć całe Niebo z swym majestatem czekało na Nią, jak na królową, Ona z litości wielkiej nad światem, z ludźmi wołała przebywać w smutku i sama żalność tłumiac Swą wielką, była im Matką Pocieszycielką. Na ludzką nędzę dokola siebie patrząc pełnem i od łez oczyma, chciała ból wszystkich poznać na ziemi, aby cierpiących być Matką w Niebie..

I zadumana odtąd boleśnie, ze smutkiem w oczach, z chmurą na czole, szła już przez życie tak, jak Ja we śnie na cyprysowym malował stole Apostół Łukasz Ewangelista (według podania ten obraz to Matka Boska Częstochowska), — od ziemskiej zmyzy wolna i czysta!...

Ody się wypełnił czas jej pielgrzymki, z Nieba anioły zleciały w posły i dla strudzonej żywotem duszy parę najłżejszych skrzydeł przyniosły...

W Janowym domu bez bólu, jęku, na apostołów zasnęła rękę; w Janowym domu wierna drużyna tęgnęła wspólnie Bogarodzicę, gdy zateśkniła do Swego Syna i szła niebieską zasiać stolicę.

Kiedy do grobu ciało złożono, z rozkoszy ziemskie zadrżało łono, lecz Niebo ziemi skarb jej wydarło, i wzięły duchy z grobu umarłą, i Marij Panny usnięte ciało, jak jasne płomień, w górę leciało, a ku leżącej Marij Panience Syn Jej przebite wyciągnął rękę; — złożył Ją lekko na Niebios progu i oddał Ojcu Swojemu — Bogu.

Z grobu Marij woń z blaskiem bije, a zamiast ciała same lilje.

Od samych lilij grób Jej się bieli, przy grobie klęczą w modłach anieli, a ziemia śpiewa pieśń nieustanną:

— „Błogostawionaś, Marjo Panno!“...

Niezwykły wypadek.

Sądy Boże nad pojedynczymi ludźmi i całym światem zazwyczaj odbywają się po cichu i niezauważnie. Czasem jednak ramię sprawiedliwości Bożej uderzy w złość ludzką tak potężnym gromem, że zadrzeć muszą nawet najzatarciwsi grzesznicy, że nawet niedowiarkowie upaść muszą na kolana i uznać nad sobą niewidzialnego a sprawiedliwego sędziego — Boga.

Przykład takiej doraźnej a straszliwej kary Bożej kilka lat temu napelił grozą świat cały.

W rozległej zatoce morskiej, oddzielającej Amerykę północną od południowej, w grupie wysp tak zwanych małych Antyli, leży wyspa Martynika. Wyspa ta niewielka, ale niezmiernie urodzajna i tak uroczą, że nazywano ją małym rajem ziemskim. Żywny grunt i łagodny klimat ściągali tam wielu cudzoziemców. Powierzchnia wyspy wnet pokryła się bujnymi plantacjami. Kilka miast — z tych najważniejszych St. Pierre (św. Piotr) — rozwinęło znaczny handel i przemysł. Wszelako wśród tych pomyślnych materialnych warunków strona religijna mieszkańców Martyniki była w stanie oplakania godnym. Zepsucie obyczajów dochodziło do ostatnich granic, do wyrafinowanego bezwstydu i rozpusty; nie tylko już niewiara, ale wprost szatańska nienawiść religii i Boga, owoc działania łóż masonskich, panowała niemal powszechnie. Pomijając już publiczne zniewagi Najśw. Sakramentu, gwałcenie dni świętych i inne bezceństwa, opowiemy tylko ostatnią zbrodnię, której dopuścili się mieszkańcy miasta St. Pierre. W Wielki Piątek, gdy nieliczni katolicy wyspy obchodzili tajemnicę śmierci krzyżowej Zbawiciela, urządzono publiczny, bluźnierczy obchód, w którym, jak jedne wiadomości podają, na ławce, jak inne mówią, na nieczystym zwierzęciu wyszydzano te najświętsze tajemnice naszej świętej wiary. Szyderski obchód Zmartwychwstania powtórzył się w sam dzień Wielkijocy; jeszcze jeden gotowano na dzień Wniebowstąpienia, ale bezbożny zamiar nie przyszedł do skutku, bo Bóg wdał się w tę sprawę. W pierwszych dniach maja

wstrząśnienie podziemne i głuche huk jakby dalekiego gromu zwiastowały karę niebios. Za niemi poszedł deszcz rozpalonego popiołu, nareszcie z wulkanu Mont Pelee, położonego za miastem, poczęły się wylewać strumienie lawy ognistej, które szły ku miastu i niszczyły wszystko po drodze. We czwartek około 8-mej godziny w jednej chwili wystrzelił z wulkanu w powietrze olbrzymi słup ognia i zasypał miasto i okolice deszczem płomienistym. Wybuch był tak gwałtowny, że nie tylko mieszkańcy uciec nie zdołali, ale nawet 18 okrętów, stojących w porcie, nie potrafiło się uratować. Były to dni Sodomy i Gomory. Tysięczne tłumy z wyciem i jękiem biegały po ulicach, padały na kolana. Usta, niedawno pełne bluźnierstw, wymawiały słowa modlitwy; bezbożni przedtem mieszkańcy szukali schronienia w kościołach i wołali do Boga o miłosierdzie, ale Bóg w tej chwili był Bogiem pomsty. Płomieniste fale lawy szły jak burza i ogarniały miasto; trzask płonących i walących się domów mieszał się z jękiem konających. Chmury dymu i popiołu tak przysłoniły niebo, że biały dzień robił wrażenie nocy, oświetlonej tylko łuną pożaru. Gdy wieczór nadszedł, z kwitnącego miasta pozostała kupa gruzów i zgliszcz; około 25 000 ludzi poniosło straszną śmierć w płomieniach, bujne plantacje były zniszczone i pokryte popiołem na trzy metry wysoko, 18 okrętów spalonych, a pod ziemią jeszcze drżał i huczał wulkan gotów do nowego wybuchu.

Oby nam dał Pan Jezus, abyśmy nawrócenia nie odkładali do chwili, którą Bóg na chwilę pomsty wyznaczył!

Niewinna pomyłka.

(Zdarzenie prawdziwe.)

— Moja Emilko — rzekł pan Stanisław, wychodząc z domu do swej szesnastoletniej córki, — masz oto pięć marek, a jak tracze skończą rąbać drzewo, to im sama zapłacisz, albo też wyślesz przez Marysię.

— Dobrze, kochany ojciec — odrzekła panienka, i włożywszy podane sobie pieniądze do kieszeni, zamknęła drzwi za ojcem i wróciła do pokoju.

Po niejakiem czasie służąca wywołała Emilkę do kuchni, gdyż właśnie wszedł tam jakiś porządnie ubrany człowiek, prosząc o zapłacenie mu należnych pięciu marek, po które pan go przysłał: ta zaś ujęta pocziwając jego powierchowością, bez najmniejszego namysłu dała pieniądze, zaleciwszy służącej, ażeby poszła natychmiast zamknąć komórkę. Lecz jakież było pomieszanie Emilki, gdy w chwilę, potem wszedł drugi człowiek z sikiem na ramieniu, oświadczając, że już robota skończona, i domagając się umówionej zapłaty. Gadatliwa Marysia wyprzedzając pannę oznajmiła mu, że dopiero co wyszedł człowiek, któremu doręczono pieniądze.

— Więc to był jakiś oszust — zawołał z oburzeniem wyrobnik — bo ani ja, ani mój towarzysz do tej pory ani na chwilę nie ruszyliśmy się od roboty.

— Ależ on nie wyglądał na złodzieja — przerwała Emilka — nie śpieszył się nawet z odejściem i teraz zapewne nie musi być jeszcze daleko; — i to powiedział, nie wiedząc sama co czyni, wybiegła śpiesznie do bramy, a za nią zaciekawiona Marysia, której już było pilno rozgłosić przed wszystkimi ten wypadek.

— Marysiu! biegnijno czempredzej, — krzyknęła nagle Emilka, — zdaje mi się, że tam na rogu przed szynkiem stoi ten sam człowiek, co wziął pieniądze.

Służąca nie dała sobie powtarzać dwa razy i szybko poskoczyła z miejsca, a za nią dwaj tracze i kilku bezczynnych współmieszkańców kamienicy. Jakoż nie myliła się Emilka: przed narożnym domem z najspokojniejszą w świecie miną stał sobie przywłaściciel pięciu marek, rozmawiając z jakimś drugim właścicielem.

— Co to tam za zbiegowisko? — zapytał, spoglądając na tłum ludzi dążących w tamtą stronę.

— Jaktó, co za zbiegowisko, śmiesz się jeszcze pytać niegodziwy, — wrzasnęła, przyskakując do niego groźnie Marysia; — wszakże to ty przed kwadransiem wziąłeś od mojej panny pięć marek, ot tam w tym zielonym domu, na drugim piętrze.

— Tak to ja — odrzekł spokojnie napadnięty, — ale cóż w tem złego?

— Patrzącie, on jeszcze pyta co złego, — krzyczała donośnym głosem służąca, — a wszakże nie ty rąbałeś drzewo.

— Ależ kto ci powiedział, że rąbał drzewo, moja panno, — przemówił, ruszając ramionami, właściciel.

— A to czemu wziąłeś pięć marek? — ciągnęła dalej zmieszana nieco jego spokojnością dziewczyna.

— Wziąłem, bo mi się należało, bo pan wasz, idąc rano przez Żelazną Bramę ze służącym, wziął odemnie parę kaczek, i kazał przyjść po pieniądze do swego domu, opisawszy mi dobrze, gdzie mieszka.

— A słowo stało się ciałem!... jaki pan, jak się nazywa? — zawołała zdziwiona Marysia.

— No, pan Kazimierz, — odrzekł właściciel, — przecież znam go dobrze od lat kilku, zawsze u mnie biera.

— Ha! jużem w domu, — przerwała służąca, — pan Kazimierz mieszka po drugiej stronie w tej-że samej sieni, mój pan zaś nazywa się Stanisław.

Sprzeczkę tę zakończył wracający z miasta pan Kazimierz, który potwierdził najzupełniej słowa niewinnie posadzonego człowieka.

W chwilę potem wszystko wróciło do porządku, przeproszony chłopiec pojechał w swoją stronę, zapłaćeni tracze poszli dalej w miasto za swym zarobkiem, a cała ta niewinna pomyłka wyszła na korzyść roztrzepanej Emilce, która biorąc stąd naukę, zapewne pilniej odtąd będzie wglądała w sprawę, nim komu da pieniądze.

Krzyż który mówi.

Powiaśka misyjna.

Opowiada legenda, że ongiś wysłał król podanych, by mu znaleźli człowieka szczęśliwego. Przeszli kraj i nie natrafili na takich, prócz małej gromadki ludzi, którzy żyli w najzupełniejszem ubóstwie.

Podług dzisiejszych mniemań misjonarza mógł to być kraj Bechuana w Afryce (należącej do Anglii), gdzie 200 tysięcy Kafirów żyje szczęśliwych i zadowolonych, mimo, że nic nie posiadają. Między tymi skromnymi murzynami żyją Piotr i Józef.

Piotr jest katolikiem, Józef protestantem. Piotr pracował niegdyś w Pretorji (w Transwalu) na zakup dobrej żony. Nauczył się przy tej sposobności katolickiego katechizmu.

Obie rodziny żyły w spokoju i zgodzie. Ra wybuchła kłótnia między nimi z powodu kozy. Odtąd nie mogli na siebie patrzeć. Obmyślali zemstę.

Zdaje się, że natura sprzyjała ich złowrogim zamiarom. Nieustanne deszcze zniszczyły pola kukurydzy, żywy inwentarz marniał.

Obie kobiety, widząc to spustoszenie, orzekły, że trzeba się przenieść na inne miejsce. Zabrawszy dobytek, wybrały się pierwsze.

Zostali tylko Józef i Piotr, a z nimi — głód. Któregoś dnia Józef zapalił ogień. Piotra to zaciekawilo, bo myślał, że znajdzie przytem trochę żywności i woła:

— Co ty wyprawiasz niecnoto?
— Nic cię to nie obchodzi!
— Uważaj co mówisz, bo inaczej rozbiję ci czaszkę.

Nie trzeba było więcej. Rzucili się na siebie i — Piotr pobił Józefa do nieprzytomności, potem zabrał trochę wody, resztę ziarna kukurydzy, śwół krucyfiks i — odszedł.

Ranny tymczasem cierpiał dotkliwie, pozostawiony sam sobie, bez pomocy ludzkiej. Nad nim niebo gwiaździste. O, gdyby się mógł dostać do tego szczęśliwego miejsca, które się nazywa niebem... Ależ on za życia nigdy się dużo nie modlił... A potem: nienawidził Piotra, to go ni przyjmą do raju.

Zamknął oczy.
— Kto tam?
— To ja, Piotr... Chciałem cię przeprosić: zostań z tobą i wyleczyć cię.

Obaj patrzą na siebie zdumieni, w blasku gasającego ognia i przy świetle gwiazd wysokich. Na nowo są przyjaciółmi...

— Nie, Piotrze, nie możesz zostać przy mnie — bo nie mamy z czego żyć obaj, a ja mogę tu spokojnie umrzeć, gdyż czuję się źle...

— Nie, nie mogę cię opuścić. Chrystus na krzyżu jest niezadowolony ze mnie. Odszedłem od ciebie kawałek i na noc położyłem się w piasku. Przedtem ukląknę do pacierza przed moim Ukrzyżowanym. A Pan Jezus mówił mi w duszy: „Piotrze, co ty uczynił? Niedobry człowieku! Złamałeś nogę Józefowi i zostawiłeś go samego w pustyni. Wróć do niego, wróć zaraz...“

— I wróciłem... Czekaj zaraz wyszukam ci coś do zjedzenia. Podnieś się, poprawię ci te suche liście...

W dwa dni później dwóch policjantów konnych znalazło Piotra i Józefa — wycieńczonych do ostatka. Kilka kropli koniaku wróciło im przytomność.

— Co się stało? Chcieliście się podobno zabić?
— To ja! — woła Piotr, — ja byłem tym niegodziwcem.

— Nie, to ja — dodaje Józef. — Zawsze byłem trochę poderwany, a teraz z głodu warobiłem głupstw. Trafiliem na duży kamień i złamałem nogę.

Policjanci, nie rozumiejąc nic z tej historii, zabrali obu na konie i zawieźli do żon. Piotrowi udało się dostać pracę w Pretorji. W niedzielę stanął przed misjonarzem:

— Wróciłeś Piotrze do Pretorji?
— Tak ojciec!
— A dużo zarabiasz?
— Tak ojciec, ale nie tylko dla siebie. Rozdzielałem pieniądze pomiędzy żonę, dzieci i chorego Józefa.